

Wzup. serli

BIBLIOTEKA LUDOWA  
PÓLSKA.

# PAMIĄTKI

JPANA SEWERYNA SOPLICY

Cześnika Parnawskiego

TOM I

WYDANIE 2<sup>o</sup>



J. FRANKEL

PARYŻ  
KSIĘGARNIA LUXEMBURGSKA  
16 ULICA DE TOURNON 16.

WYDZIAŁ

ZAMÓWIENIA

XX022602386

BIBLIOTEKA LUDOWA  
POLSKA.

PAMIĄTKI

JPANA SEWERYNA SOPLICY

Cześnika Parnawskiego

TOM I

WYDANIE 2<sup>o</sup>



J. FRANKEL

PARYZ  
KSIĘCARNIA LUXEMBURGSKA  
16 ULICA DE TOURNON 16.

W. VIVIER DEL.

Z. THE RINGTON

ok 1868

8-40.-

340 825



340825



Kx 142/67/2  
10.8.

# DO CZYTELNIKÓW I DO AUTORA

## KILKA SŁÓW WYDAWCY.

Już to drugą Rzec i drugiego bezimiennego autora podaję w emigracji do druku. Pierwsza (1), była wprost na ręce moje przysłana; tej, zrobił mię wydawcą przypadek tylko. Jest ona w zupełnie innym rodzaju; w tem tylko do tamtej podobna, że także wyszła z pod pióra bardzo niepospolitego.

Autor (przypuszczając że nie był naocznym świadkiem tego co opisuje; z samego owszem nazwiska *Soplicy*, domyślając się że jest naszym współczesnym i czytał *Pana Tadeusza*), z rzadką sztuką umiał się przenieść w przeszłość; doskonale i jak prawdziwy poeta widzi ją, słyszy, uważa, pamięta, opowiada. W sposobie opowiadania i prowadzenia rozmów okazał talent śmiały i wielce narodowy.

*Pamiętki Soplicy* uważam prawie jako rapsody wielkiej epopei: której bohaterem dawna, staroświecka, KONTUSZOWA POLSKA.

Niechże ją nam Autor rozwinie w jak największej liczbie podobnych Powieści; niech w nich ani na krok nie wystąpi z tego co krajowe, szczeropolskie a przytem obrazowe (2); niech nie zamykając się w jednej tylko epoce, — bo kto już ma dar wskrześcy, nie potrzebuje koniecznie aby zwłoki które chce ożywić, świeżo dopiero zmartwiały, — wszystkich tych dawnych i z różnego pokolenia Polaków, Antenatów, których szanowne rysy w na pół zatartych i zamierzchłych portretach tu i owdzie widzieć możemy, — niech mówię całe to mnóstwo domowych naszych nieboszczyków, tak dla nas ciekawych a między sobą tak podobnych, pózbiera z wysokich ścian

(1) *Poselstwo z ziemi ucisku do Synów jej w rozproszeniu.*

(2) *Rzeczy polemiczne, uwagi np. o pisarzach, albo panowaniu tego lub owego Króla odłożywszy raczej do pism innych.*

do szczerzej niedorzeczności: bo *dziw* nawet ma pewne prawa w *przeświadczeniu ogólnem* do którego wielu artystów powoływać się nie chce. Stąd zamiast malować rzeczy obecne, lub zesłe w rzeczywistości ale żywe dotąd w historji, w podaniu, w pamięci ludu; radzi bierzemy się do przedmiotów, uchodzących zupełnie z pod sądu dla braku danych. Ktoś pisze tragedje, to odsyła ich scenę w czasy które nie zostawiły po sobie żadnego wzoru dla artysty, żadnego znaku dla potomnych, poczemby się rozeznąć na tym dalekim obszarze: niżeli rysować osoby i sceny o których podobieństwie świat mógłby sądzić umiejętnie, niżeli podejmować Szyllerowe prace w dziejach i w psychologji, woli mocą fantazji zaludniać historyczne pustkowia, i jakby z nudy kreślić figury dowolne. Ów chciał napisać poema z tematu: *poezja i nieszczęście*; nie wybrał za bohatera Książnina lub Karpińskiego sobie i nam znajomych, nie pożądał opisać nadwiślańską przyrodę, albo Pińsk i Białowież, w czym każdy wieśniak miejscowy mógłby dłań zostać krytykiem; ale poszukał aż Kamoensa, i wziął się malować nam widok Makao ze strony morza: lada dzień, napisze kto historję przedpotopową, nie radząc się ani Księgi Rodzaju ani Cuviera. Wszystkie takie utwory nie mają ciała, nie mają ujęcia.

To i nie dziw że w obec tych fałszów estetycznych, — z których gdy jeden uchodzi a drugi następuje, w literaturze polskiej bój z sobą toczą — skoro się zjawi dzieło zdjęte z natury, w całej świeżości nowego odbicia pokazujące ludziom co czuli, co myśleli, czem są, okrzyk powszechny zdumienia i radości je przyjmie, okrzyk dzikiego któregoś raz pierwszy przed zwierciadłem postawił. Takeśmy witali Pana Tadeusza. Niżej oden, a przecież niezbyt daleko, stoją Pamiątki Pana Seweryna Soplicy.

Genjusz jest to cierpliwość, powiedział wielki uczony i arcy-wystawny pisarz, wypróbowałszy swojej. Że się definicja ostała w brew interesowi próżności, to dowodzi że jest w niej coś prawdy. Jakoż, jeśli byłoby płonnem chcieć przez cierpliwość dojść genjuszu, marnem sądzić

że ona stanowi genjusz lub część jego istotną, przynajmniej potrzeba przyznać że jest jego warunkiem nieodzownym, *okolicznością* tyle niezbędną co czas wielkiemu czynowi : to jest że przezeń się on tylko objawia. Polskiemu genjuszowi braknie cierpliwości, dla tegoż tak rzadkie i niepełne jego pojawy. Dla tego Mickiewicz spozzył na prędcę powiastkę o Wallenrodzie i Aldonie, z najpiękniejszego przedmiotu do wielkiej romantycznej epepei; a pan Soplica, mąż zasobny w rozumienie przeszłości, który pamięta, i to gorąco, sercem pamięta ośmnasty wiek naszej Polski, zamiast ułożyć te bogactwa porządnie w dzieła większego zakroju, pojedynczemi wspomnieniami wytrząsa je od niechcenia. Dzięki mu przecie za to.

Co bądź albowiem, pan Soplica jest wielkim twórcą w rzetelnem znaczeniu wyrazu : wypadki i osoby śnione w naszym marzeniu, ale już coraz mgłą nawodzone, płowiejące; ułamki wspomnień z których dzień każdy coś uroni, on dopełnił, wybitnie odrysował i rozświecił. Przez niego dzisiejsze pokolenie *wyrzekło* swój ideał onegdajszych swych ojców; z jego ręki, już każdy może familijnemi portretami ubrać ściany swojego domu. Wprawdzie, wszystko to robione z pospiechem, jakby z oszczędnością czasu, farb i płótna; wszystko niewykończone, niepoprawne, nieraz tylko wpółszkicowane, ale zawsze jest kilka zarysów głęboko prawdziwych, ożywczych.

Szczęśliwie bo sztukmistrz obrał sobie świat przedmiotowy. Żyje on jeszcze w podaniu, każda rodzina ma o nim swoją legendę, a jednak trochę w tył usunięty, że zbyt światła i głosów nie ślepi i nie ogłusza artysty. Zupełna obecność pokazuje przedmioty w doskonalszej szczeroci; artysta ociera się o prawdę : ale mało kto zachowuje środ walki spokojne oko dostrzegacza. Najlepiej maluje namiętności nie człowiek miotany od nich, ale ten co pamięta jak mu przeszły nawałnicą przez życie. Potem trudno rozeznąć w obecności co tu jest wszystkich wieków spuścizną, co przeszłizga bez śladu, a co zostawia osad jako

znamię epoki. Ta wczorajszość przedmiotu która mu ustron zapewnia, blaski jego łagodzi, dozwala artyście pospiesznej pracy, a jednak daje do kogo się powołać o świadectwo prawdzie, jest najwłaściwszem względnie do stanowiska artysty położeniem. Szyllerowskie

Was unsterblich im Gesang soll leben  
Muss im Leben untergeben,

takbyśmy odmienili, że co schodzi z rzeczywistości, rade się chroni w świat sztuki.

Spojrzenie pana Soplicy na wiek ośmnasty jest trój-względne, skąd i pamiątki jego rozkładają się naturalnie w trzy działy : w pierwszym się mieści życie szlachcica obywatelskie na zewnątrz, wyrażone przez konfederację barską ; w drugim jego życie powiatowe, sejmikowo-trybunalskie, domowe i dworskie ; w trzecim, co jest niyb ustępem tej wielkiej powieści, wchodzi element kozacki. Troiste to widzenie mieni się i cieniuje nie w jednym obrazie, a wszędzie, bądź osobiście w humorystycznym swym majestacie, bądź w oddali sposobem wzmianki ukazana postać Karola Radziwiłła, którą Sopllica położył za oś swych wspomnień.

Jakże pięknie w *Kazaniu konfederackiem* otwiera szereg tych ledwie zeszyłych, już staroświeckich typów, ksiądz Marek, karmelita, rubaszny prorok i cudotwórca! Nieporównany kaznodzieja! co aby zatrząsnąć słuchaczami stawia ich lice w lice z niebem i piekłem ; z ambony improwizuje dramat, gdzie kojarzy w poufałym dialogu przenajświętszą rodzinę, świętych pańskich i publiczność kościelną. Musi to jednak narodowość z boskiego być ustanowienia, musi to ciężkim być grzechem czy ją wydzierać drugim, czy zbyć się własnej rozmyślnie, skoro sam Pan Bóg na swych wybranych zostawia zupełne jej piętno. Figura księdza Marka po raz pierwszy występuje przed nami w swem świetle ; nie mógł jej pojąć, chociaż wielki artysta przecie że filozof XVIII wieku, Rulhiere : ale ksiądz Marek pana Soplicy oddany z tak miłą

szczerotą, jak gdyby, obyczajem chrześcijańskich malarzy, kreślił go autor klęcząc i modląc się, i na ideał przez przymięte lez pozierając.

Skorośmy rzecz zaczęli o barskiej konfederacji, a imię Rulhiera pod pióro nam nadbiegło, nie będzie niewczesnem przymierzyć do jego historii wspomnienia pana Sopley. ma się rozumieć pod artystowskim względem, o ile mówią o jednychże wypadkach i osobach. To zbliżenie rozwidni ich zobopólny widnokrag, a zarazem nastręczy nam porę oddania hołdu najgorliwyszemu z obcych, najbogiejszemu ze wszystkich pisarzy polskiej historii; mężowi nie dosyć u nas cenionemu, nie wiem, przez nieznamość czy niewdzięczność; nie dosyć w ojczyźnie własnej, może z błahego powodu, że pisząc o nas jedno z najpiękniejszych dzieł piśmiennictwa francuzkiego, musiał je upstrzyć trudnemi do wymówienia nazwiskami. Poczniwszy od wyświecenia stanowiska Rulhiera w literaturze historycznej.

Wiadomo że dotąd objawiło się dwojakie pojmowanie przeszłości, z czego się wyrodziły dwie główne metody historyczne: pierwsza bada człowieka, typ absolutny którego szuka w wielkich indywidualnościach okresu, postępując w tem dziele bądź przez ciągłą analizę charakterów, bądź przez obrazowanie wypadków wysadzające naprzód znakomitsze pojedyncze postacie; jest to metoda starożytna, której dwa dopiero co rozróżnione sposoby widać najlepiej na dziełach Tacyta i Liviusza: druga rozpatruje się w społeczeństwach, poszukując ich myśli religijnej, ruchu umysłowego jak się wyraził przez filozofję, przez prawodawstwo, przez sztukę; a wypadki brane massami odnosi do praw stałych, czy to je widokami Opatrzności, czy logicznym pochodem rozumu przezwie. Przed okiem tej metody, pojedynczości maleją, człowiek i przypadek skończyli razem swe królowanie: człowiek bywa już tylko potrzebą chwili, wyrazem ogólnego rozumu w danym czasie i miejscu, szczęśliwą okolicznością jak nazwał siebie cesarz rossyjski Aleksander. Ta metoda mogła się naro-



dzie aż w dojrzałości świata; jakoż starożytni pisarze ani domysłem jej nie zaznali: Bossuet miał jej widzenie, Gibbon i Robertson, dali jej próby pod wpływem innych wyobrażeń; a dopiero w wieku XIX Hegel ustawodawcą, Guizot jej Tacytem. I w świecie wyobraźni odbywa się podobna przemiana: myt zbiorowy następuje po osobowym, legendy o rasach wchodzą na miejsce dawnych o Aleksandrze, Karlu, Arturze. Walter Scott jest opowiadaczem nowej legendy: w jego romansach bohaterem jest cała epoka, osoby znamionami jej niezmiernego oblicza. W historii, rozumiemy że obie metody przetrwają, bo jedna drugą dopełnia, i ostatecznie są to dwa względy tejże samej nauki — pojęcia człowieka. Ale pierwsza może być użyta na razie, do przebiegających wypadków; druga musi patrzeć z wysoka, a zatem w pewnej od nich oddali: liczba takich historii pojedynczych, analitycznych, osobowych, posłuży później za materiał do historycznej syntezy.

Rulhière jest to historyk starożytnej szkoły, blizki pokrewny Liwiusza. W tym rzędzie historycznych pisarzy stoi na czole w literaturze francuzkiej, nie samym talentem ale i losem do starożytnych podobny, bo takżeż tylko wspaniały fragment zostawił; a na domiar zbliżenia, krytyka pracowała nad jego tekstem, i zaprzeczała mu pewnych części dzieła. Nikt uczeniej stylem nie władał, nikt zręczniejszemu nie chwycił, nie oddawał wybitniej rysów nawet tak mieniającej się twarzy jak była Stanisława Poniatowskiego. Rzecz dziwna! sam tytuł *Historja bezrządu w Polsce* niby ostrzega że autor mierzył swój przedmiot nie jak poeta i entuzjasta, ale ze stanowiska dostrzegacza z wyższej cywilizacji: a przecież umiał mu nadać tak epopejne rozmiary. Dziwna, że pod piórem człowieka obdarzonego tak wielkim zmysłem krytycznym, ludzie co mieliby maleć, to owszem rośli w olbrzymie kształty. Cóżto za posągowe postacie dwóch braci Czartoryskich, możnowładców i statystów! Jakże nienowoczesna figura ów Branicki, Pan i dygnitarz wsparty na miłości powszechnej, starzec na rozkosze wyflany, a przecież wię-

kszej czerstwości woli niżli ją znajdziesz w pustelnikach dzisiejszych. A Małachowski uosobnienie cnoty i powagi, a Mokronowski, w Krasiekim za poczciwego *Pana Jędrzeja* znany, tu świetny wyobraziciel rycerstwa, dyplomacji i zalotności! Rulhiere pisał panegiryk; nowy Izokrates pisał go lat dziesiątek, i zmarły jego Ateny, nim on dokończył obrazu. Myśl pochwalną ukrył głęboko: człowiek zachodni, ilekroć sam przemawia, pamięta na swe obowiązki względem rozumu; republikanów kocha przez jakiś pociąg tajemny, czy przez wspomnienia klasyczne, czy przez odrazę jaką w nim budzi zbliżana widzianna dworszczynna; nie śmie ich nie naganić, ale ich pokazuje wielkimi. A któż był znowu straszniejszym dla nieprzyjaciół naszych? Wszakże to Rulhiere podał Europie ich rysopis, którego się ona wyuczyła na pamięć, a na którego wzmiankę rumieniec im występuje na czoło. Jeśli jest wada w tem dziele, to że mimo kunsztowne cieniowanie pochwały, tak ją nam hojnie odmierzył autor, że ledwie czytelnik wyjdzie z pod czaru jego opisów, musi zapytać jakim sposobem, przy takim doborze ludzi, Polska zejść mogła do najopłakańszych rezultatów? Jakoż w istocie, to chyba się daje tłumaczyć owem prawem statyki o siłach równych pomiędzy sobą a działających na przeciwne kierunki.

Obaj pisarze, Rulhiere i Pan Sopllica, zostawili nam Radziwiłła Panie Kochanku swego pęzła. Rysunek jedno trafny; ale koloryt co nie zna pewnych prawideł, tylko wprost od indywidualności malarza zawisł, jest naturalnie tak różny jak różni są Cześniak Parnawski a poufały dworu Wersalskiego i dyplomacji Europejskiej. Dla Rulhiera musi być Radziwiłł barbarzyńcem; dworak filozof ukochał naszą społeczność szlachecką, ale nie mógł ni przedzierżgnąć tak siebie, ni tyle się wtajemniczyć do naszej cywilizacji, aby miał bandę albeńską za kwiat narodu uważać, a spalenie lub wypędzenie szlachezca za niewinną igraszkę. Dopiero kiedy przychodzi do wydania uczuć patryjotyzmu i poświęcenia na tej fizjonomji której

zkądinąd nie rozumiał, Rubiere przesadza Pana Sopicę śmiałością zarysów i podniosłością tonu. Nie popełnim śmieszności abyśmy mieli politykę Pana Sopicę roztrząsać, i zawodzić z nim o to spory; bo wiemy że zdania jego w tej rzeczy są obmyślanym owocem artystowskiego. Zamiast brać Radziwiłła ze swego podmiotowego stanowiska, i własny sąd o nim na jego twarzy wyrazić, wołał Pan Soplica stanąć sam wskroś stulecia, zachwycić powietrza, barwy, woni przedwiekowej, i siebie ukrywając, wystawić nam żywcem magnata, z jego orszakiem albeńczyków, z jego myślą i gościem, z sądem jaki o nim społeczeńsi mieli, z epoką jego.

To jest prawdziwe czarodziejstwo; ale jeśli było szczęśliwie użyte do oddania humorystycznej Radziwiłła figury, do skreślenia obrazów potocznych sejmikowego i domowego życia, mamy powiedzieć że się lękamy, aby to zrzeczenie się podmiotowego sądu, to zaparcie dzisiejszego stanowiska, to przeobrażenie dostojnej myśli dziewiętnastego wieku w Pana Sopicę, nie było jej na wstręcie do malowania osób i rzeczy wielkich, co już z praw perspektywy nie mogą być dobrze widziane od zbyt zbliżonej źrenicy. Tak jest, jeśli się autor uprze wiedzieć i sądzić w osobie Pana Sopicę, a z niej nie robi allegorji, ale zachowa jej rzeczywistość szlachcica ośmnastego wieku, będzie przywiedziony koniecznie do ubożego, jednostronnego widzenia, przed którym ujdą co zaśniejsze postacie, bo te górują daleko nad ocznym promieniem palestranta: autor usprawiedliwi przenikliwe ostrzeżenie Stefana Witwickiego, który mu radzi «aby nie szukał ducha i tonu polskiego w tem jedynie co junackie i rubaszne.» Przywiedzenie prawd historycznych o położeniu ludzi znaczniejszych w staropolszczyźnie, o jedynem świetle w jakim umiało ich oddać piśmiennictwo krajowe, upoważni nasze obawy.

Rzecz niewątpliwa że każdy naród, przeżywszy jakiś lat przeciąg, wyrabia w swym duchu, w widzeniu rzeczy, w zewnętrznym okazy, pewne prawidła zwyczajowe, pod

które z czasem najniepodleglejsze umysły nagina. Tak w Hiszpanji, długie, prawie pojedynkowe, a zatem wznoszące indywidualność z Maurami wojny, dalej cudowne odkrycia i podboje, skarby nie jako późne owoce trudu ale jako trofea śmiałości, wszystko to ukształtowało w pojęciu, w uczuciu, w ułożeniu, tę przysadną wystawność wiernie odbitą w rodzinnej literaturze, i naśladowaną blisko dwa wieki po dworach europejskich. Z niej to pochodził jeszcze Ludwik XIV, któremu za wszystkie talenta stanęła majestatyczność, co go nie opuszczała nawet gdy się do snu przywdziewał, co mu nieukowi dała natrafiać piękno w sztukach, administracji, polityce, w uroczystej chwili natchnęła to szczytne słowo: « Nie ma już Pyrenejów », i od jego osoby rozpromieniła na cały naród uczucie i ambit wielkości, zapaliła plejady wojowników, sztukmistrzów, pisarzy, — a przetrwiona w charakterze francuzkim rozlała znów na Europę wpływem *gustu i grzeczności*. Postawmyż obok z Ludwikiem jedną z najwspanialszych historycznych postaci, człowieka nieskończenie wyższego osobistemi zdolnościami. Ostatni król chrześcijański zamknął i uwięził wojny krzyżowe zwycięztwami pod Wiedniem i Strygoniem: jakiż on to wpływ wywarł na umysłową i artystowską Polskę? Największy czyn z dziejów nowożytnych, jakichże to miał historyków i pieśniarzy? Cóż Polska umiała o nim powiedzieć, prócz że gadała pół wieku potem: Król Jan nieboszczyk fulmen orientis? On sam, czyliż mówi jak wielki człowiek, czy ma język swojego stanu, opowiadając swe czyny, w listach do Marysienki gdzie rączki papy d'Arquien całuje?

Niepomałoby taki się mylił, ktoby przeciwność dwu tych fenomenów do różnicy warunków władzy odnosił. Mówiąc o Ludwiku XIV, o Janie III, nie chcieliśmy porównywać królów: idzie o wpływ człowieka panującego nad społeczeństwem, czy godnie utrzymywaną pierwszą pozycją, czy, co jest więcej, potęgą swojej osoby odzwierciedloną w sławie. Więc w tem trafunkowem zbliżeniu

Sobieskiego stanowisko jest korzystniejsze ; czemuż przypisać jego tak marny wpływ na społeczność polską, oglądając się zwłaszcza na europejską wszechdzielność Ludwika ? Oto wyznać potrzeba, w Polsce wielki czyn głuchnął w czezości. Pochodzi to z natury umysłowości polskiej, której główne znamiona schwyciwszy, nietrudnoby już było wyjaśnić wiele tajemnic historii i literatury ojczyściej, a następnie przyjść do pewnych prawideł przewodnich w zdejmnowaniu wzorów polskiego przedmiotowego świata.

Rzuciliśmy przedtem wspominkę o piętnie narodowem hiszpańskim, i z pomiędzy licznych charakterów ogólnych, bądź brzegami pewnego kraju objętych, bądź wylewających na postronia, wybraliśmy raczej ten a nie inny, jako najzupełniej przeciwległy polskiemu. Tam wszystko podniosłe, wystawne, nieco teatralne, ale dziwnie do epopei lub dramatu przydatne ; jest to kraj romanseru, kraj okwity najbujniej w dramatyczne postaci : tu wszystko rozsądkowe, rubaszno-jowjalne, nie butne w chęciach ; całe słowo tego społeczeństwa zmieści się w przysłowia i przypowieściach. Jakoż zbiór przysłowiów odświeżany z każdym stuleciem języka, i autor co z nich budował swe dzieła, Rej z Nagłowic, pisarz nieuczony, pisarz gadek i przypowieści, stanowią istotę literatury narodowej. Prócz tego kwiatu skromnej woni i farby, nie tu szczero-krajowego nie zejdzie. Oto Bolesław Chrobry nie mógł wuczyć tego plemienia do podboju ; plemię to już mieć nie będzie epopei. Jego historia nie przedstawia gry namiętności tęgich, co mu zapewne wiele zbrodni oszczędzi, z czego się będzie chlubiło, jako i z nietykania sąsiedniej włości ; ale z blakownych dziejów nie wybije dramat narodowy. Napotykanne tu i owdzie wyraziste postaci nie posłużą za wzory : bo te się wyradzają nie z przypadkowych typów, ale z ogólnych, po wszystkich warstwach społeczeństwa odbitych.

Pospolitym to bardzo błędem, nie rozumieć stosunku społeczności a bohatera, polityka lub artysty ; nie wiedzieć

że tylko wzajemne przez się pojęcie osoby i społeczeństwa, może wydać tę górującą jednostkę, którą zwiemy wielkim człowiekiem. Powstanie ktoś możny czynem, zjawi się sztukmistrz zawołany, tak z razu jesteśmy olśnieni blaskiem owej postaci, że przesadzając bezmiernie jej pojedynczą siłę, nie pytamy jak tam za bohaterem jest w narodzie ogólna żądza i rozumienie wielkiego czynu, za artystą jasne widzenie wypadków i osób, lub zarywanie powszechnie jakiejś lirycznej nóty, którą sztukmistrz dopiero w pełni obejmie i wyda. Przecież bez tego nie byłoby ani wielkiego człowieka, ani wielkiego sztukmistrza: będzie co najwięcej człowiek znaczny i słynny, artysta biegły rzemieślnik, ale obcego pochodzenia. W Polsce owa mierność znamienna, ów wstręt od hazardownych kolei po których właśnie do wyższych rzeczy się goni, sprawiły że nigdy naród nie rozumiał swych ludzi, nigdy przez swoje poparcie nie zrobił ich rzeczywiście wielkimi. Tu jeśli nasz charakter tłumaczy naszą historję, nawzajem ona świadczy o charakterze: jest między niemi logiczny stosunek skutku do przyczyny. Myśl narodowa nie tylko że nie przewidziała, nie kształciła wyższości, ale nawet kiedy z rzymskich wspomnień wykwitły, opierała się iść za niemi. Stoją one samotnie w naszej historii. Dla tegoż nie było ani prawdziwie polskich statystów, ani poetów, ani historyków, choć byli mężowie poradni, i pisarze zdolni do pieśni i powieści. Słynni Polacy są to w księdze dziejowej piękne anachronizmy, próbki charakterów starożytnych: myśl Liwjusza stworzyła Jana Zamojskiego, jak brzęk jego perjodów Długosza i Kromera. Tak dalece naród nie dotrzymywał kroku tym Anarcharsysom z pielgrzymki w starożytność wróconym, że chociaż szabla była mu zabawką i chlubą, przecież swym wodzom ledwie dozwalał zaszczytu bezowocnych wygranych, nie doczekawszy nigdy celu założonego wyprawie.

Do historii należy wykazać następstwa dla Polski z tego rozwoju pomiędzy ludźmi wyższymi a massami;

brak wpływu na Europę, niezłanie części różnoplemiennych w jedność, niewyrobinienie instytucji coby wytrzymały podwójną próbę czasu i obcego napadu; do teorii sztuki, niemoc w narodzie pojętnego widzenia jednych typów malownych, a więc niepodobieństwo sztuki w naczelnym jej objawieniach, epopei, dramacie, historii.

Autor Pamiątek przywdziewając osobę Soplicy, jakież stanowisko wybiera do uważania przedmiotowości polskiej? Oto schodzi na takie nieprzychylnie szerokiemu widzeniu, że zeń ówczesne talenta nie mogły ni oka rozeprzeć, ni rozeznac snujących się ludzkich i rzeczowych postaci. Potrafił zdjąć wierzytelnie Radziwiłła, Radziwiłła co tylko w Polsce mógł się urodzić, bo ta figura dziś tak odrębnie cechowa, miała za czasów Pana Soplicy swoje pokrewne po wszystkich sferach społeczeństwa, była znajoma wszystkim. Należy ona prawem humorystycy, dla której przeszłość ojczyzna nie dosyć że przedmiotów najbogaciej dostarcza, ale jeszcze na każdym punkcie daje dogodnie widownie. Pan Soplica rozumiał, powinien był rozumieć Radziwiłła; o tem nikt wątpić nie będzie, tak to jest zupełnie prawdziwe we względach czasu i charakterystyki ogólnej. Tu więc mógł autor zrobić nam słodkie złudzenie, w tył pomykając rok malowidła. Ale ten kaprys, jeśli uchodzi bezkarnie w jednostronnem widzeniu rzeczowości polskiej, łamałby skrzydła artyście, przymuszał do sądu co nie zaspokoi dzisiejszego pojęcia, lub do sfalszowania swej głównej, opowiadającej osoby, gdyby go autor nie porzucił biorąc się do różnolicowych obrazów, do czego, jesteśmy pewni, niesie go powołanie, a tebu i umiejętności starczy. Już w podzisiejszych Pamiątkach, ilekroć autor potracił o ważniejsze przedmioty, bije w oczy jak go uciska i krępuje ta pożyczana maska i suknia. Puławski tylko gdzieś w głębi pokazany, i niedziw nam że go autor na przód obrazu nie wysadził; uczuł zapewne że to nie przez adwokacką Cześnika mózgownię tak poetyczna figura może na świat sztuki odbłyśnąć. Kazimierz Puławski, jest to piękność ogólnego wielkiego typu, na któ-

ra patrząc niepodobna uważać w jaki tam strój przybrana. Duchem i ciałem zarówno silny, podług wzorów home-rycznych czasów, gdyby był mężem w czasie wyprawy pod Troją byłby drugi w obozie greckim coby dzidą achillesową potrzęsnał. Przyjrzyjcie mu się, jak w Karpaty wleciały zawisnął jak nawałnica po nad całem Podgórzem, i dopatruje gdzie uderzyć zniszczeniem? A w Częstochowie, kiedy Moskale radzi go zgubić i właśnie na jego mężtwie zasadzając rachubę, wybrali z pomiędzy siebie najstraszniejszego żołnierza, aby go wyzwiał na rękę, patrzcie, dowódca twierdzy przyjmuje walkę sam na sam z nastawionym siepaczem, i gdy w tem strasznem spotkaniu obu oręża pękły, on, przez kirys przeciwnika, rękojeścią dosięgnął i zdusił mu w piersiach życie. Po kilkoletniej kolei cudownych przypadków, co w sympatycznym i współwidzącem towarzystwie, byłyby jeśli nie odrodzenie kraju, to przynajmniej romans rycerski wywołały, nasz Artur, nasz Roland szuka bojów za swoją damę, wolność, którą ukochał w idealnym posągu, jaki w płomieniu swej duszy wyrobił. I szlachcic polski, więc graf dla reszty Europy, dziwnem a jednych Polaków dotykającym zrządzeniem, ginie za towarzystwo bez tradycji, niemając przeszłości na urodzenie jednego herbu, za *self-governement*, gdzie wszyscy ludzie biorą się za *jedności*, bo nie było historii coby zrobiła z którego *licz-bę*. Któż nam odda Pana Puławskiego w zupełnym blasku? Rulhiere zaczął tę figurę uczenie, w wielkim stylu, ale śmierć przerwała mu robotę: Pan Soplica dotknął jej się nieśmiało. Gdyby Juliusz Słowacki wyzwolił swojego Bieniowskiego ze wspomnień Don Żuanowych, i polemikę z rodzajem ludzkim, która mu rwie ośnowę, na inne miejsce odłożył, lub dał jej zasnąć z Juvenalisem i Byronem, możeby jemu się dostało wskrzesić rycerzy Baraskich. W pierwszych pieśniach poematu *Beniowski*, śró-rzeczy zupełnie obcych dla przedmiotu i okresu, padają od pisarza błyskawice na przeszłość, świadczące o jego powołaniu epiecznem. To powołanie widne już w pier-



wszycy powieściach, gdzie młodość autora wystąpiła przebrana w dojrzałe i urobione formy, w Beniowskim się zapowiada przez wyraźniejsze znaki, a nas utwierdza w myśli że przekroczeniem przeciwko niemu były wszystkie wycieczki autora na inne szlaki poezji. Zresztą, przez robotę epicznego talentu rozumiemy tu powieść, romans poetycki, nie zaś to wielkie *słowo* ludzkości *epos*, co jest wyrażeniem wraz poetyckiem i ścisłym całej summy wyobrażeń i podań rozlanych w społeczeństwie, i ni-by formułą algebraiczną społecznego rozumu. Takiego albowiem dzieła połowę tylko wieszcz robi, a drugą społeczność sama; — albo raczej on tylko ją podstuchuje a-żeby następnym wiekom jój tajemnice wydał. Symbolizują tę prawdę kłótnie uczonych o Homerydy, czyli one zbiorowem, czy jednego człowieka dziełem. A nasze społeczeństwo nazbyt jest rozstrojone, różnomyślne, wielojęzyczne, aby się mogło wyrazić jedną formułą, jednem słowem; wiek dziewiętnasty nie będzie miał epepei.

Wracając do rzeczy, niemniejszym dla nas dowodem jak ta rola Soplicy więzi autora Pamiętek, jest jego Rejten. Tu wszystko co miejscowe, z pospolitem znamieniem zgodne, jest nader trafnie i wyrazisto oddane; co odstaje na tle powszechnem, uchodzi przed wzrokiem Soplicy: Rejten w szkole, w Radziwiłła towarzystwie, jest oświetlony, i może być łatwo za prawdziwego uznany; ale na sejmie nadzwyczajnym poseł, nie dosięga idealu, nie wyobraża jeszcze męża na którego wspomnienie całej Polsce pierś się podnosi. Parafjańskie szkiełko co takim czarem nawodzi sceny domowej, pokątnej, familijnej przeszłości, tu jedno zawadza spojrzeniu autora.

Przecież, pierwszym prawidłem w zdejmowaniu przedmiotów na widnokręgu ojczystym powinno być nieschodzenie samemu z górującego stanowiska cywilizacji. Jak z podziemiów egipskich wydobyte napisy zgaduje umiejętność nowa tak z pyłem wieków wyniesione z przeszłości osoby i fakta przy pochodni dziśczesnej oświaty odczytywać należy. Cywilizacja tak u nas ogadana właśnie

przez ludzi co jej swą wyższość winni, szkiele których użycza nie nawodzi wyłączną farbą, tylko podaje sposoby widzenia jaśniej i dalej, a wszystko we właściwym miejscu i barwie. Jest bezstronna, bo jest wszechstronna: na co się gniewają ludzie nieraz pięknych i silnych ale jednokolejnych, więc ciasnych usposobień. Zresztą, całe to nowe piśmiennictwo polskie, zostające w sympatyczniejszym stosunku z narodem niżeli były Stanisławowska i Zygmunowska literatury, przyszło w następstwie ogólnego europejskiego, nie krajowego ruchu. Gdzież Leleweł pokaże w Polsce swych poprzedników w krytyce historycznej? Mickiewicz, Zaleski, Trętowski, jakże wywiodą swój rodowód ojczysty? Język nawet który już zaczął skamieniałości ulegać, przybierając ugodnych znaczeń w ślad francuzczyzny, i bez względu na swój genjusz składalny, jeżeliśmy rozgrzali, zrobili posłusznym na wszystkie ruchy umu, i obieg soków od liścia neologii aż do pnia słowiańskiego w nim przywrócili, nie byłże temu powodem zwrot ku poezji i spekulacji niemieckiej ciągnący za sobą potrzebę giętszej, swobodniejszej mowy? Kultura narodowa może być własnoziemna, albo szcepiona i zharmonjowana z narodową przyrodą: w tym osatnim razie jest kultura polska. Podziśdzień u nas powołaniem pisarzy, jest wtajemniczać do rzeczy których naród sam przez się nie dochodził; tak przyswoiwszy sobie rezultaty rozumowych działań zachodu, może on je pomknąć, rozwieść szeroko: ale w obecnym stanie zamykać Polskę moralnie w jej granicach byłoby zdusić ją w chwili; chcieć zaś czy w historji, czy w sztuce, widzieć i tłumaczyć Polskę przy własnym jej świetle, byłoby to zawierać okiennicę przed słońcem mając co szukać w pokojach.

Dział drugi Pamiątek Soplicy, albo raczej drugi pierwiastek przedmiotowości polskiej obrabiany przez artystę świeci największą prawdą i bogactwem scen i postaci. Tu przedmiot i patrzący byli w przyzwoitym stosunku. Póki szło o rzeczy i osoby znaczne na historycznym prze-

stworzu, Pan Soplca nie był dość biegłym [znawcą aby wszystkiemu stosownie miejsce i część należną wydzielić; ale gdy z nową naturą przedmiotów dość mu było widzieć i zapamiętać, Pan Cześnik jest niezrównany, bo ma oko i pamięć miłości. Powieść jego swobodna skoro nie potrzebując wojować sądem i łamać się z trudnościami historycznych zagadek, promieni poezją wspomnień. Od złotoustego płynie czarowna gawęda o starych czasach tak pięknych! bo powiązanych z młodością, z siłą uczucia i użycia. Potrzeba było genjuszu aby tak dobrze dochować stosunek powieściarza do czasów wspomnianych. Jeżeli strona epieczna tych rapsodów o wieku ośmnastym jest chybiona, właśnie dla prawdy charakteru osoby opowiadającej a nieudolności tej osoby do pojęć epiecznych, zato strona obyczajowa, domowa, jest wyśmienita, dzięki wybornej właściwości Soplcy do przedmiotu. Co było przeszkodą autorowi Pamiętek w schwytności wielkich zarysów konfederacji i sejmów, to samo jest dlań przyjaznym środkiem do kreślenia zaścianka, trybunału, pańskiego dworu. Domowych ówczesnych dziejów nikt nie opíše jak swojak owej epoki, bo nikt ich tak kochać nie będzie; a kłoby tam wchodził z pochodnią krytyki, ten zamiast rozświecić olśni wszystko i zaćmi.

Jakże autor dowiedział, zasłyszal tę przeszłość? Musiał długo nadstawiać ucha przykominkowym rozmowom ludzi podeszłych, musiał z miłością wezitywać się w papierzyska ochrzczone uroczystem imieniem archiwów rodzinnych, wydzierać mołom szczątki pozwów, nawet nie gardzić notatami spisaniem słowem czernidłem na przekładkach kalendarza gospodarskiego; resztę dopełnił wielkim rozumem, od którego wszelka całość pochodzi. Przynajmniej pewna jest, że w piśmiennictwie ośmnastego wieku nie było dlań wzoru ani materjału wiele; gdyż w ówczesnej społeczności polskiej pisali wszystko ludzie co nie kochali swojego świata. Zbierali zeń wzorki lub mu prawili morały, żaden go nie malował miłośnie i poważnie. Z pamiętników od niedawna na jaw wynie-

sionych, jeden Kitowicza od przeszłości przemawia; lecz nieplenny w szczegóły, a zresztą Kitowicz pełen żółci do tego co nienawidzi, nie umiał patrzeć poetycznie na to czego żałował. Inne, jako to Wybickiego i Kollataja, pisane od ludzi zbyt uderzonych zachodnią oglądą, ledwie przypadkiem dochowują barwę okresu. Nieraz Wybickiemu serce się krwawi i żal zaczyna usta, że nie chce wspominać rzeczy coby dla autora Pamiątek były drogim nabytkiem. W ogóle, w tych pamiętnikach ani dosyć rozumu aby stały za prawdziwą historję, ani szczeroty w opowiadaniu by mogły bardzo posłużyć malarzowi przeszłości. Z literatury ośmnastego wieku prowadzącej natchnienie z zagranicy, niepodobna wydobyć żadnego świadectwa o czasie, prócz że z wierszy pochwalnych, wnioskować można o przedpokojowych usposobieniach autorów. Jeden Krasieki rzuca światło na towarzystwo społeczne, ale to światło polyskiem drwiącego uśmiechu.

W Krasickim trzeba umieć odróżnić plody podwójnego natchnienia: co pisał jako biskup-senator, a co jako satyryk i dowcipniś europejski ośmnastego wieku. Z pierwszej żyły płyną: Wojna Chocimska, Pan Podstoli, poziewne i chłodne utwory; druga rozlała Satyrami, Wojną mniszą i Doświadczyńskim: bo z dwóch charakterów Krasickiego, pierwszy był przybrany, z urzędu noszonym, a ostatni serdecznym, osobistym.

Gdyby patrzeć nie na dno dzieła, ale na tytuł i zamiar pisarza, wzięsoby należało Pana Podstolego za wzór polskiego szlachcica, i doń odnieść wszystkie umnicze próby tej roli. Wszakże już dzisiaj niewolno zrobić tak niezgrabnej pomyłki, kiedy ta książka umarła, przeżywszy zaręczoną sobie od Dmochowskiego, przed laty czterdziestą, nieśmiertelność. Pan Podstoli nie ma nie życia, nie prawdy: jest to figura zupełnie konwencyjna, pokrewna wszystkich plebanów, dobrych ojców, dobrych matek i t. p.; obraz szlachcica jakim go widzieć pragnęli panowie XVIII wieku, gdy sami zemdzoziemczali radzi go byli hodować

w swojskich wyobrażeniach, dla tego właśnie że je uważali za ciasne, a przez to wyrobić pomiędzy nim a sobą różnicę cywilizacji, gdy innej prawo krajowe nie przypuszczało. Do licznych kłamstw naszego społeczeństwa, przyrodziło się wówczas nowe: uwielbienie możnych dla narodowości, czego fałszywość zdradzało ich kształcenie się na tryb obcy. Ponieważ o wpływ i godność trza było negocjować z wolnymi głosami, schlebiano słusznym uczuciom szlachty, a z chwilowego przymusu pocieszano się żartem we francuzkim języku. Ta obłuda tak była w krew przeszła, że w czasie gdy już niczego nie mógł od szlachty wyglądać prócz szacunku jaki mu słusnie należał, Jenerał Ziem Podolskich ubolewał że wzrost możnowładztwa a upadek równości braterskiej wprowadzał formuły uniżone do mowy polskiej. Krasiecki zrodzony w tém społeczeństwie, a z pozycji podniesionej talentem należący do jego szczytu, co mu zbywało czasu od czytania Boala, Gresseta i Woltera, lub pisania wedle tych wzorów, obracał na układanie sielanki, gdzie wystawił raj domatorstwa, bez więcej zachodu i ostrożności artystowskiej, niż ich mają piszący powiastki dla dzieci o występku ukaranym i enocie trjumnującej. Dodał morału przeciwko pijaństwu, kosterstwu, — morału wyrażonego ze świetnym przekazem w satyrach, tu pospolicie i nudnie: i oto cała ta książka bezfarbna, nie warta jednego obrazka domowej sceny, jak naprzykład jest *Pan Rewieński*. Dziwić się nawet trzeba, skąd Krasiecki jako pisarz prozą, mógł więcej być poważany od spółczesnych Naruszewicza, Bohomolca; co się tém chyba tłumaczy, że był w swoim czasie upowszedniaczem nowszych pomysłów, pisarzem języka potocznego. Ale ten język był przechodny, te pomysły jedne fałszem, drugie pospolitością zostały, i dzieci nasze nie będą czytać tej prozy o składni francuzkiej a łacińskich wyrazach, najbardziej odbiegłej od Sławiańszczyzny i Zygmuntofskich podań. Z pana Podstolego nie mógł autor Pamiątek wycisnąć ni kropli farby.

W Satyrach i w Doświadczyńskim Krasicki wyświecił nie jedną ciekawą stronę polskiego towarzystwa, ale to światło przedrzeźniające, zamiast być pomocą dzisiejszemu malarzowi przeszłości, razi mu owszem źrenicę, i przeszkadza temu lubemu spojrzeniu na wsteczne czasy, z którego się rodzą obrazy historyczne. Autor Pamiątek musiał walczyć ze wspomnieniami z Krasickiego, i mrużyć oczy na tę szyderczą pochodnię żartu. Daleko wreszcie od tego aby Krasicki był sprawiedliwym sędzią; często miał słuszość po sobie przeciwko społeczeństwu, a częściej go nie rozumiał, stawiając pod linią i karcąc zarówno to wiekowe przywary, to różnicę nawyknień swojskich od poloru nałowionego z Europy. Taka jest treść pism satyrycznych, najlepszych pism Krasickiego; chociaż tam co krok spotykać można oświadczenia za obyczajem narodowym i chryje na cudzoziemczyznę, jedno i drugie w opatrzeniu się na szlachtę. Inaczej być nie mogło: Krasicki był dzieckiem cywilizacji XVIII. wieku, która nie była jeszcze prawdziwą oświatą, ale ogląda, co jest z natury swojej wyłączna, despotyczna jak moda, jak zakon salonowy; ile więc razy wychodził z roli narodowego pisarza, a objawiał wewnętrzne uczucia swojej osoby, musiał być nie sędzią, lecz przeciwnikiem. Chociażby wreszcie stał Krasicki w swoim czasie przy prawdzie, to inna jest prawda obecna, społeczna, a inna historyczna i poetycka. Tamto były czasy polemiki, dzisiaj są czasy obrazowania. To ostatnie przedsięwziął autor Pamiątek, i trzeba mu przyznać ten zaszczyt, że w zdejmowaniu rzeczy ośmnastego wieku jest pierwszy, bez przodka w literaturze; że się kierował wielkim instynktem, po tradycji, po tych pismach które przeszłość na ład nasz wynosi, jak rzeka przy ujściu obrzuca brzegi piaskiem i liściem z krajów które przebiegła.

Orędownictwo pańskie, palestra, bratnia pohulanka, kolejno się nasuwają pod pędzel mistrza: Pan jest ojcem i bratem szlachcica, palestra szkołą narodowego rozumu i arcy-szanownem ciałem, a przyjacielskość znarowiona,

którą tak złośliwemi farbami Krasiecki w satyrze *Pijaństwo* namalował, tu zachowuje zupełnie swoje czyste pochodzenie: upijając się ludzie, ale sumiennie i święcie; nadużycie jest tylko bardzo odśrodkowem następstwem enoty. Autor, przywilejem biegłych artystów, pochlebia, a przecież chwyta podobieństwo. Radziwiłła głowę rozświecił wszystkimi powabami owych czasów: jest to najlepszy pan, i wielki prawnik, i pierwszy rębacz czy to na szable, czy to na żart rubaszny, i pierwszy pijak. Żalujemy jednak że autor niedość na to nastawał, jaki tam w duszy jego bohatera był kwiat świeży i biały, którego chwasty dziwactwa zgłuszyć nie mogły; i z tej okoliczności przytoczymy tutaj podanie co wypadło z pamięci autorowi Pamiętek.

Kiedy Radziwiłł razu jednego, pod natchnieniem humoru, klecił genialne swe kłamstwa w obec króla Stanisława, przyszedł z kolei do widzenia się z Jezusem Chrystusem. A jakże Chrystus Pan był ubrany? — zagabnął z przekąsem król filozof. — Miał na sobie mundur województwa Czarniechowskiego, odparł niezmiyszany artysta. Wiadomo że u nas byli tytularni urzędnicy ziem odpadłych; odpowiedź więc Radziwiłła była wymownem przypomnieniem obowiązków króla polskiego.

Gdybyśmy tu mogli rozwieść się nieco dłużej nad robotą każdego obrazku, łatwoby nam wykazać jak głębokiem i prostem sposobem doszedł autor najwyższych efektów. Pogoda i lubość malowidła są tu jedynem znamięniem jego trybu. Przez nie grają sceny uroczyste, patetyczne, lub wybija komiczność wysoka nie nacechowana satyrycznym zamysłem. Weźmy naprzykład ów obraz trybunału lubelskiego, tak jasny, czysty! Jest ustęp w Doświadczyńskim, najwyrazistszy kawałek z prozy Krasieckiego, gdzie tenże sam przedmiot oddany jest żywo i z przyciskiem. Ale porównać dwa te przedstawienia, to jest karykatura, tamto obraz — to pamflet Paul-Louis Couriera, tamto poemat. Któż nie pamięta jak ucinkowy biskup wiedzie swojego bohatera do Lublina z *paszpor-*

*tem do sprawiedliwości narodowej?* Autor Pamiątek poetycznie przyznał nadużycia sądowe legendą o Chrystusie co się odwrócił tyłem do trybunału, a mieszcząc wiarę w ów cud na twarzach osób swego obrazu, pięknie wyraził że występki był jeszcze grzechem nie obyczajem. Na przykład niewinnej komiczności można przytoczyć wspomnienie o teatrze lubelskim, gdzie drama ustawnie był przerywany wiwatami na cześć wchodzących dygnitarzy, i zazdrość, zemsta, żart, musiały czekać na scenie, dopóki w sali kielich rąk widzów nie obejdzie.

Drugie spostrzeżenie ogólne jakie uczynimy nad Pamiątkami, dotyczy języka i stylu rozmów. Język ten i styl są wyborne, szczeropolskie, z najczystszej żyły wydobyte; w nich autor dochował tok istnie narodowy, którego już nie ma gdy sam opowiada. Z resztą, owa czystość języka godzi się dobrze z okresem, jeżeli pamiętać będziemy że bohaterowie autora Pamiątek nie są to wychowañcy Damonów, ale szlachta co z francuzczyzny ledwie karty przyjmuje, i to z oporem; szlachta co wartowała Herburta, czytywała kroniki, uczyła się Haura, i śpiewała psalmy Kochanowskiego.

Nad wszystkimi powiastkami tego dzieła, niewybiegającemi z domowej sfery, chętnie zatrzymuje się oko, i wszędzie trąca o prawdę bujnie rozkwitła. Gdyby nas jednak zmuszono wybór uczynić, serce nasze odbiegłoby całej palestry, odbiegło Panów Rewieńskich i Borowskich, nawet Radziwiłła panie kochanku, a skłoniło się do Pana Rysia. Pan Ryś, ideał dandysa kontuszowego, zabójca serc niewieścich, choroba płci dzisiaj piękną a wówczas białą przezwaną, piękny, odważny, zalotny, *l'incroyable* swego czasu, jest dla nas o ile nowem, o tyle drogiem zjawiskiem, a jego dzieje najdroższym djamentem jaki kiedykolwiek w pamięci polskiego powieściarza zaświecił.

Piękna jest także legenda o Panu Leszczycu. Ta niemość w obywatelu pozbycia się zgryzoty dopóki w holdzie prawu życia swojego nie poniesie, jest pomysłem tkliwym



i oryginalnym, chociaż w skruszeniu ducha bierzemy go raczej za uczącą allegorię niżeli za dostrzeżenie cechy dziejowej polskiej : tak na wschodzie pod despotyzmem, który ma nieskończoność i niespodzianość kaprysu, krążą powieści o królach stale kochających i odmierzających wiernie sprawiedliwość.

Bardziej jeszcze poetycką w swojej treści jest pamiątka pod napisem klasztor Surlański. Tylko owa tragiczna dana potrzebowała innego, szerszego rozsnucia ; autor Pamiętek opisał ją aby nie zginęła z tradycji, ale nic z niej nie zrobił, — i ona czeka poety. Nigdy Szekspir, ni Kalderon arcytragik nie uprzedli straszniejszego powikłania przeciwności, zbrodni i żalu.

Powieści trzeciego działu, z elementu kozackiego czerpane, rozłamują się znowu stosownie do natury swych danych, albo raczej wchodzą do dwóch powyższych działów, podług tego jak obrazują przedmioty historyczne, lub sceny potocznego życia. To samo cośmy rzekli ogólnie o niewdzięcznym sposobie traktowania podniosłych rzeczy dziejowych za pomocą wspomnień Soplicy, przypada zarówno tutaj do kozackich powiastek. Dwie z nich wymagało wielkiej manjery : o Panu Sawie, którego życie wskróś idzie konfederacji Barskiej, i druga o Panu Czap-skim, co zaczyna o bunt Pugaczewa. Bunt Pugaczewa! istny dramat Wiktora Hugo, mieniący okropnością i blażeństwem, rzucony na scenę wzdłuż Wolgi i gór Ural-skich. Cóż zeń zapamiętał Pan Soplica? Co mógł spamię-tać prawdziwy szlachcic polski, który gdyby był na Hamlecie, z całego poematu wyniósłby Hamletowe do Ofelji :

That's a fair thought to lie between maid's legs.

Pan Soplica oddychając tem życiem melodramnem, nie nabral w pierś innych wrażeń prócz kiku facecyjek. Zgo-da! jest to prawdą względem osoby opowiadającej, wzglę-

dem Cześnika Parnawskiego. Zupełny brak w literaturze oryginalnej dramatycznej osnowy, sposób suchy często rubaszny jakim opowiadają kronikarze najokropniejsze zdarzenia, służą za dowód tej prawdy; ale podajem autorowi Pamiątek nasze wątplenie, wolno-li życiodawczemu talentowi potrafić tak o przedmioty bogate, i naruszyć jedno ich dziewiczość, kiedy miłośnym a silnym uściskiem mógłby je z chwałą dla siebie i literatury rozplodnić? Jeszcze raz powtarzamy, czemuż autor nie wzbroni swemu gadule wspominać tego co on źle widzieć musiał, a poprzestając teraz na skreśleniu scen domowych, nie odroczy wielkich przedmiotów do dzieł innych, gdzie jego osobistość wystąpi nieskrępowana przyjęciem ugodnej roli?

Zato, do najpiękniejszych ze zbioru należą powieści kozackie sfery domowej, gdzie autor odrysował Kozaka w trzech postaciach, Zaporozca, hajdamaki, kozaka dworskiego. Zaporoziec autora Pamiątek nie jest to Zaporoziec Michała Czajkowskiego, dyplomata w stosunkach z *sultaniem konstantynopolitańskim*, i urodzony konkurent do kasztelanek krakowskich: broń Boże! jest to sobie po prostu chłop zbiegły z Rusi lub z Moskwy, albo też jaki urwisz od szlachty skłócony śmiertelnie ze sprawiedliwością krajową, czasem skradzione dziecko wychowane wśród Sycy — zawsze człowiek wołający życie tkane pohulanką i mordem, nad wieczny batożny proces z rządcą polskiego magnata, albo stanowczą rozprawę z trybunałem. Autor Pamiątek niedosyć że osnuł nader interesującą powieść o Sycy, więcej zrobił — szczerością tego obrazu oddał posługę krytyka literaturze, bo obalił dziwolągi kozackie, które wchodziły już w modę, i wstrzymał ten fałsz zaraźliwy, powstały z pomieszania wyobrażeń Rusi a Kozactwa, tego co tam było porządkiem normalnym, a co buntem uorganizowanym dzięki słabości Rzeczypospolitej, wszakże trzymanym na wodzy, i tylko od czasu do czasu tryumfującym chwilowo. Omal że Potoccy i Wiśniowieccy nie są kozakami; przecież nie godzi się tak dowolnie za-

mieniać bijących na bitych ; jeżeli pierwszych gromi dziś sąd historyczny za ich zbrodnie, zostawmyż ich przynajmniej przy dumie co wywołała piorun. Dant spotykał w piekle duchy butniejsze gniecione ogromnym ciężarem : nie mówi aby je mieszano z małemi, które one deptały tu w życiu. Jakto musi żalować wielki poeta, naczelnik ukraińskiej szkoły, że dał nie chcący powód do tej mistyfikacji kozaczej? choć czyż to wina słowika że osieł chce po swojemu śpiew jego naśladować? Jakże zabronisz biedakom za cudzą myślą tropiącym podbijać twój pomysł w przesadę, w mniemaniu że bijorąc za punkt wyjścia co dla ciebie było już odśrodkowym na kraniec prawdy zagonem, śmielszego są od ciebie genjuszu? Ale kiedy wspomnimy, że przez lat kilka Polska wierzyła w Kozaków Czajkowskiego, i wdzięczna za podarek z tak historycznych figur, przebaczała mu najsroźszą obrazę wszelkich pojęć pisania, — że usta i uszy od lat dziesiątka pieszczone harmonją wieszczów, nawykały do hajdamackiego języka, a filozof Trentowski jawnego illetrystę nazywał pierwszym belletrystą polskim, winszując mu z bogacenia języka kupą solecyzmów, fałszywych form i wyrazów pustych jak orzechy bez jądra; — kiedy przy tem spojrzym, jak zwolna przenikają w rozumienie powszechne *Wacław, Nieboska Komedja, Pan Tadeusz*, — zdejmując nas bolesne zwątpienie o usposobieniach estetycznych narodu.

Ot! pocieszajmy się Pamiątkami Soplicy. Jego Zaporozec, to mi to Zaporozec prawdziwy! Pije w karczmie pawiąc się jasnemi barwami i złotym galonem, a gdy wraca do Siczy zanurza w dziegiu i rzuca barwistą odzież, wołąc koszulę oblaną łojem i niepodległość zaporozką. Wprawdzie tej atmosfery wódki, łaju i dziegiu żadnaby kasztelanka nie zniosła, ale on taki piękniejszy bo istotny — bo Sicz była upustem dla dzikiej swobody ducha, tłumionej ryzą okólnych ustaw społecznych, bo żaden kozak nie byłby został na Zaporozu gdyby mógł mieć pannę Lanckorońską za kochankę i z Marją Ludwiką iść w

pląsy. Jak tu mądra jest pamięć Soplicy! dopiero co wspomniał to symboliczne przewdzianie stroju, znów nas prowadzi do czterdziestu kwater pułkowych, stawia przy obiorze koszowego, którego nie robi podobnym do konsułów Rzymskich, konnetablów francuzkich lub Hetmanów koronnych, ale przywiedzeniem brudno poetyckiego obrzędu sypania śmieci na głowę, wzmianką o prawie co w dzień obioru obowiązywało pisarza, aby na Zaporozu chociaż on jeden był trzeźwy, wtajemnicza nas do serdecznej prawdy tego towarzystwa. Ponckie pobrzeże, kraj dziwów, kraj oryginalności historycznych i społecznych! Tu grecka fantazja mieściła tyle cudów — tu galop nigdy nie przestał tętnić, tu siew oczeretów nie ponowiony od potopu wybują, tu w konia wrosły przemykał niegdyś Scyta, a w dopiero ubiegłym wieku hałasił u wrót Europy i cywilizacji Tatar, w łacińskiej polaków mowie także Scytą przewzany; na jednym krańcu tego pobrzeża siadło w starożytności zbrojne stowarzyszenie dziewic, a kiedy jego dzieje szczyły już w bajkę, oto na drugim punkcie tej okolicy wylęga się towarzystwo wojennych mnichów — bez boga. Autor Pamiętek artystowsko postawił szlachcica polskiego pośród kozackiej zgrai w Dżumdzuryku skreślił zajmujący wzór awanturnika, kładąc zaś w usta Soplicy nadzieję beatyfikacji pisarza Siczowego, schwycił znamię pobożności narodowej, co grzeszyła zawždy zbytkiem zaufania w miłosierdziu bożem.

Hajdamaka jest rycerz wiodący już wojnę na swoją rękę, zanim bunt chłopów lub napad kozacko-tatarski da mu postąpić na polityczną osobę, jakich okropne grupy cudownie ułożył Goszczyński. Hajdamaka zasiada przed autorem Pamiętek, który z niego bierze bohatera do jednego ze swych obrazów, gdzie dramatycznie z nim zplata figury Łowczego i Porucznika kawalerji narodowej. Wyborny djałog, trafne dopatrzenie charakterów we wzajemnej przebiegłości rozwiniętej przy spotkaniu, zwłaszcza to zbadanie porucznikowskiej duszy, jak za pośrednictwem elicha rad wchodzi w polubowne ugody ze


swoim sądem i przywyka do zbójckiej kompanji, wszystko to rozlewa powab na powieść. Autor szczenił farb przeraźliwych, nie poprowadził swego bohatera na pal, ani na szubienicę, czegoby kto inny nie był zaniechał: owszem, opromienił łagodnie koniec powieści. Jak morski rozbójnik Scotta, Pan Pawlik chwyta za chorągiew narodową i jej szkarlatem osłania zbrodniczą swą przeszłość.

Nareszcie trzeci gatunek kozak dworski, co jest do Zaporozca czem zwierz domowy do dzikiego, wyblęsnął także podobny z pod pędzla autora. To on! z wiernością i zmysłem pudła aportuje od Pana Potockiego do Pana Ogińskiego. Rozrzewniający dyplomata, jedyny rodzaj kozaka ambasadora jaki ja pojać mogę! Szerokimi szarawary i gromkim głosem nie będzie on straszyl salonów, nie domyśla się francuzczyzny i wie że się jej niedomyśla, ale skromnie odnosi poselstwo serwaserem na lbie mu wypisane. Ma też swoją nagrodę, swoje radości. Sam Pan Ogiński nalewa mu kielich wódki. Typ arcy szanowny! pociągający serce: bogdaj się tylko przechował jak go tu autor Pamiątek nakreślił, i nie zapragnął, puszczać wodze ambicji, wchodzić w stosunki z *Sultanem konstantynopolitańskim*.

Otośmy powiedzieli pokrótce nasze mniemanie o naturze przedmiotowości i artystycznem onej oddaniu w Pamiątkach, bez powziętego zamiaru nagany lub pochwały, ale jedną i drugą wyznając szczerze według wrażeń odbieranych od dzieła. Pewien młody krytyk, przetrząsając z cierpkością utwory polskie wydawane w Paryżu, nazwał Pamiątki Soplicy chudemi wspomnieniami, przechowanemi lepiej w pamięci narodu; zacny ich wydawca Stefan Witwicki, wnioskuje że posłużą poetom i pisarzom romansów: pierwszy z tych sądów zdaje nam się eadkiem niesłuszny a drugi niedostateczny. Pamiątki Soplicy nie są ni robotą społeczną malowanym wypadkom i w braku innej zasługi noszącą ślad okresu, ani gnojem Enniusowym dla przyjsć mających Wirgilich: są to już dzieła

sztuki skończono w mierze talentu pisarza; i aby w jedno wyrażenie zsumować cośmy tu owdzie o tym przedmiocie rzucili, autor byle nie pętał swej siły, odda usługę całemu społeczeństwu polskiemu, pozwalając mu widzieć się w swej przeszłości.

STANISŁAW ROPELESKI.



Stanisław Ropeleski

B.U.L.



Książę KAROL RADZIWIŁŁ  
*Panie Kochanku.*  
(Z obrazu oryginalnego Galerji Nieświezkiej.)

# PAMIĄTKI

## JPANA SEWERYNA SOPLICZY.

Polonus sum, Poloni nihil  
a me alienum puto.

I.

### KAZANIE KONFEDERACKIE.

Było to roku 1769, czwartego Listopada, w sam dzień Świętego Karola, a tak pamiętam jakby to się działo onegdaj. Sluchaliśmy Mszy Świętej w kościele OO. Bernardynów w Kalwarii: kościół był jak nabity szlachtą, której mnóstwo panów przewodniczyło. Siedzieli w ławach: X. Karol Radziwiłł, wojewoda Wileński solenizant, i Potocki podczaszy Litewski, i Potocki wojewoda Kijowski, i Pac starosta Ziółowski marszałek jeneralny konfederacji, i Rzewuski chorąży Litewski, a któż wymieni wszystkich tych panów? i na sejmach więcej ich nie widać; oni siedzieli w ławach, a my stali, ba nie tylko my, ale i urzędnicy nawet stali, bo do ławek nie łatwo było się docisnąć. Po Mszy S. Xiądz Marek karmelita, na którego cuda zaci ludzie patrzali, zaintonował: TE DEUM LAUDAMUS, a my szlachta śpiewali wtór i niektórzy panowie nawet; wszyscy śpiewaliśmy ochoczo,



bo też było za co Panu Bogu dziękować. Przed czterema dniami w sam dzień wszystkich Świętych, jak na wiązanie JJ. OO. i JJ. WW. Panom, nie zapominając i o nas szlachcie, Pan Kazimierz Puławski starosta Warecki porządnie był wytłukł Moskwę pod Lanckoroną i aż do Myślenic gnał Szuwarowa, a i ja tam swoim nie szkodził, co mnie trochę zaszczytu i nieco przyjemności przyniosło, jak się o tem powie. Po hymnie, wstąpił ojciec Marek na ambonę; my wszyscy natężyli uszów: raz że i łaknąć trzeba za słowem Bożem, powtóre byliśmy ciekawi co też powie z powodu rocznicy urodzin JO. Xięcia Karola Radziwiłła, co był pan wielki, pobożny, dobrodziej szlachty i filar naszej Barskiej Konfederacji, a którego w dniu tym przepomnieć nie zdawało się nam aby było do rzeczy. Przeżegnał się ojciec Marek, i tak powiedział: « Święty Jan Ewangelista mawiał: Dziateczki! kochajcie jedni drugich, i ja wam to mówię, a raczej wymówię że tak nie robicie. Kochamy Ojczyznę! mówicie, a między sobą żyjecie w ciągłych swarach! Piękna to miłość ziemię kochać, a z ziemianami się wadzić; a wy panowie naczelnicy tej konfederacji pod hasłem *wiary i wolności* zawiązanej! zamiast cobyście mieli dobry przykład dawać szlachcie, to albo sami ogień tworzycie, albo do gotowego drewna przykładacie. Czyż wy usadziliście się znękać cierpliwość i miłosierdzie Boże, aby inne narody nauczyć, ile to trzeba grzechów, żeby aż Ojczyznę zatracić? Wy się cieszyacie wygraną

pod Lanckoroną; a ja się smucę, bo ten dar Boży będzie wam powodem nowej Boga obrazy, powiększy waszą pychę, swawolę, waszą rozpustę! A kiedy bieda was nie poprawi, cóż to będzie z pomyślnością? Lękamy się Boga, mówicie; za wiarę, za biskupów wziętych walczymy i krew przelewamy. Bodajby tak! A to co się u ciebie zrobiło na obiedzie, dzień trzeci temu, JW. Marszałku Lubelski? Jak dwóch rotmistrzów związku twojego powadziło się, kiedy zapomniawszy o Bogu, z cierpkich przymówek przyszło do odgrażania się, do korda: to ty Marszałku, co byś miał mitygować, godzić, bronić nareszcie już nie jako wierny katolik, ale przynajmniej jako poczciwy gospodarz, cóżeś uczynił najlepszego? Toś sobie z tego zabawkę robił! toś drugich panów zapraszał, ażeby byli świadkami, jak się Lubelczycy tego w kordy biją. A o cóżto się bili? O honor Najświętszej Panny, o wypędzenie intruza którego szyma na stolicy naszej przemocą usadowiła? Nie, o głupstwo, aby wam panowie czas przyjemnie schodził. Krew szlachecka dla pańskiej zabawy niech płynie! Takto niegdyś w Rzymie, nim papież nastali, bawili się pogańscy panowie, patrząc jak szermierze się zabijają. A i ci przecie krew szlachecką szanowali: bo szermierze byli brańcy narodów Rzymowi obrzydłych, ale nie szlachtą rzymską. Otożto wasza wolność! wasza równość! wasza wiara! Wkrótce ja pożegnani was; powrócę do klasztoru Berdyczowskiego z którego bodajbym nigdy był nie wyszedł! a

tam będę błagał Najświętszą Pannę za sobą; tak za sobą, bo same patrzanie na wasze grzechy zmasało duszę moją. To wy ją nazywacie królową?... pięknych ona ma z was poddanych! Dziewica przeczysta i panieńskiego serca ma panować nad wszetecznikami i burdami? Złoży ona wkrótce niegodną koronę, a wy raczej Lutra królem, a szymę królową ogłoście. To będą godni was panowie; jacy poddani, tacy monarchowie! A więcej nie powiem wam, niegodny sługa Boży. »

— To wyrzekłszy, zszedł z ambony i przed wielkim ołtarzem ukłękawszy zaczął śpiewać. « *Przed oczy twoje Panie.* » Wszyscy stali jak wryci, nie mogłem widzieć co się natenczas działo z JW. Granowskim marszałkiem W. Lubelskim, ale jak mi później mawiał Pan Mikołaj Morawski natenczas porucznik pancerny Xięcia Karola Radziwiłła, który w asystencji stał przy jego ławce, że pan Granowski tak się pocił, jak gdyby w łaźni siedział, a przecie to był czwarty Listopad i dobry przymrozek na dworze; taki mu był wstyd. A nie bez słuszności; bośmy wszyscy wiedzieli, o co rzecz. W sam dzień Zадuszny zaprosił był na obiad obozowy panów i urzędników, i tych co się dnia poprzedniego popisali pod Lanckoroną, co i mnie dało wstęp do jego stołu, a swoich Lubelczyków wszystkich. Otoż między nimi był pan Snarski łęgi jeździec, nie ma co mówić, i łębski w potyczce, ale zwłaszcza przy kielichu wielki klótnik. Jużto on i do mnie u stołu strzelał przymówkami, ale

ja szanując gospodarza i dostojnych gości wszystko mimo siebie puszczałem, raczej przysłuchując się dyskursom zacnych, niżbym się miał oglądać na jakąsiaką przymówkę. Tak tedy nie doczekawszy się ze mną zwady, i innych napróżno tentując : aż nakoniec dostał czego żądał od jednego ze swoich. Pan Bolesta Mańkutem przewany, lubo opodał od Snarskiego siedział usłyszał, iż ten się odezwał : *Wiwat powiat Urzędowski! czoło województwa Lubelskiego!* A że był ziemianinem Łukowskim, markotno mu się zrobiło, i to mu wymówił. Od przymówek do wymówek. Jak zaczął ich podjudzać JW. Marszałek i JO. Xiążę wojewoda, przyszło do tak grubych wyrazów że zgroza było słuchać : a z tego gospodarzowi jeszcze większy śmiech. Wyszli z izby : a porwawszy się do szabel przy nas bić się zaczęli. Urzędowczycy swego, Łukowczanie swego, a JW. marszałek obudwóch zagrzewał. Slicznie się obadwa składali ; Panie Boże, przyjm to za żart ! aż miło było patrzeć. Ale nakoniec silnie po łbie dostał Snarski ; jak długi padł krwią obłany. Myśleliśmy że już po nim, ale jakoś przyszedł do siebie ; a potem cerulik tameczny jak zaczął mu chleb z solą do rany przykładać, a krew puszczać z ręki, cierpiałci on jak w czyscu, alem go jeszcze kilkanaście lat potem widział na kontraktach Dubieńskich wojskim Urzędowskim, z głęboką kresą, ale zdrowego i opamiętałego. Jak ludzie mówili, bardzo był szacowany w swoim powiecie ; a co się zrobiło z Bolestą, prawdziwie do

dziś dnia nie wiem : ale dawno musiał umrzeć.

Wracam do swego. Xiądz Marek śpiewał, ale sam jeden; bo my wszyscy tak się zadumali że muchęby można usłyszeć, lubo nas była ćma, bo żaden z kościoła nie wyszedł. Xiądz Marek po odśpiewaniu pieśni, znowu na ambonę powrócił, co nawet starych zadziwiło, bo nikt nie słyszał aby kiedykolwiek xiądz lub zakonnik jednego poranku dwa razy kazał. Dosyć że X. Marek powróciwszy na ambonę, tak mówił: «W pierś uderzyć się muszę, że w dniu urodzin i imienin twoich, JO. Xiążę Wojewodo Wileński, dostojny wodzu naszego związku! zdawałem się na chwilę o tobie zapomnieć. Twoje i twoich przodków zasługi, poświęcenie się twoje dla Ojczyzny, miłość szlachty i ta żywa wiara, którą ci Bóg pomimo twoich błędów zostawuje, warte ażebym się z tego przed obliczem was wszystkich skruszył. Dam ci więc w dniu tak dla ciebie, a więcej jeszcze dla nas uroczystym, wiązanie najdroższe : bo go nigdzie nie otrzymasz, jeno w domu Bożym! To jest prawda, że jako prawy Polak, gościnne i uczynne twoje serce żadnej korzyści mieć nie chce z którejbyś drugim udziału nie zrobił. Wielce mnie pochwalisz, że w tej prawdzie, w tem wiązaniu tobie ofiarowanem inni dostojni koledzy twoi, swój także udział otrzymają. A jeżeli ciebie i kolegów twoich nie przekonam, że to co mówię jest prawdą : każdemu z was wolno mnie zawstydzić, mieniać mnie kłamcą. Bóg, często dla korzyści drugich, niegodnym sługom swoim wielkie rze-

czy objawia. W tym względzie doświadczałem i ja Jego łaski. Oto rok siódmy temu, gdy w celi mojej gorzko płacząc nad Ojczyzną modliłem się, ujrzałem Anioła Polski. Widziałem go tak jak na was przytomnych patrzę; a Bóg raczył udzielić siły, żem mógł znieść oblicze tego mocarza niebieskiego. Wiele on rzeczy mnie powiedział, których objawić mi nie wolno; ale to co mi się godzi, to wam powiem bez ogródki: bo Anioła rzecz ani szlacheica, ani pana, ani króla nawet obrazić nie może: wszak każdy jest kmieciem przed nim. — Marku, powiedział mi Anioł, źle się dzieje z Ojczyzną twoją. Nie rząd ją zgubi. Wszyscy pragną rządu, a żaden z pocziwych rządzić nie chce. Król Sas którego wszyscy kochają, a nikt mu nie pomaga, lada dzień zamieni koronę doczesną na wieczną; i będzie to co jest; rząd leży na ziemi, a nikt się schylić nie chce aby go podjął. Pod różnemi postaciami do wszystkich waszych panów udawałem się; zawsze ta sama odpowiedź: przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo. Byłem u Radziwiłła Wojewody Wileńskiego; mówiłem, błagałem: jedź do Warszawy! zajmij się rządem! cała Litwa twoja! ratuj Ojczyznę!... Aż płakał tak się rozczulił: ja z torbą pójdę, powiedział, a niech Ojczyzna będzie cała. — Ale tu nie idzie o ofiary z majątku, lub narażenia życia; siedź w Warszawie i zajmuj się rządem. Oto wiesz com wycisnął nakoniec? — *Panie kochanku*, ja będę w Warszawie rządził, a mnie P. Michał Reyten w Nalibokach wszystkie

moje niedźwiedzie wybije? — Udałem się do Wojewody Kijowskiego. Pan obszernych włości, i coby je chętnie dla Ojczyzny poświęcił; ale uczciwszy uszy, jakże tu siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł po kilka dni ciągle z panem miecznikiem Ciesielskim pić w Szorstynie, kiedy pani Wojewodzina myśli że mąż folwarki objeżdża? — Byłem u Marszałka Mniszcha. Nie może! kocha Ojczyznę, ale *świnia bura*, rządząc nie można mieć processów, a jakże żyć bez codziennych konferencji z jurystami? — A pan Wielopolski krajczy koronny kocha Ojczyznę, ale *bała bała*, jak zasiądę się w Warszawie, kto będzie dyspozytorów co sesji do roboty napędzał? A pan Krakowski? — *Moja panno*, niechno się obmuruję w Białymstoku, to i o Ojczyźnie pomyślę. — A Xiąże Sanguszko Starosta Czerkaski? — *Mopanie*, ja będę siedział w Warszawie, a moje stado w Sławucie sparszywieje? — Otoż taka wasza miłość Ojczyzny, i dla tego tułacie się żeby odzyskać coście dobrowolnie utracili. Niechże to za naukę wam posłuży nadal i waszym potomkom; pływicie na desce kiedy już wygodny okręt przez niedbalstwo wasze odbiegł od lądu. A przynajmniej teraz, zaklinam was w imię Chrystusa, nie ustawajcie w przedsięwzięciach waszych; może wam Bóg pobłogosławi pomyślnością; a w przeciwnym nawet razie, żadna wasza usilność dla Ojczyzny straconą nie będzie. Myście w Bogu o Ojczyźnie, ale tak czyńcie, jakby ona jedynie od was zależała. »

Mówił ów ksiądz Marek wiele jeszcze innych rzeczy pięknych. Plakaliśmy, a razem pocieszaaliśmy się. Myślałem że panowie których wytknął, rozsierdzą się na niego; ale nie. Owszem, każdy z nich wychodzącego uprzejmie powitał i w rękę pocałował, a solenizant na obiad zaprosił: gdzie, jakem się później od pokojowych dowiedział, kolejnym kielichem wszyscy panowie zdrowie Xiędza Marka spełnili.

## II.

## P A N D Z I E R Ż A N O W S K I.

Bitym charakterem na wołowej skórzeby nie spisał, jak, i ile razy konfederaci Barscy popisali się. Gdzie tylko armat nie było, nigdzie nam Moskwa placu nie dotrzymała. A ludzi tak zgrabnych jak naówczas, to teraz i nie widać. Między zgrabnymi, jakże nie porachować Pana Franciszka Dzierżanowskiego, herbu Grzymała, a pulkownika pulku Gumbińskiego; u którego miałem wielką łaskę, gdyż mi się udało jemu raz życie ocalić, a przynajmniej wolność: ale tak i życie, bo on nie był z tych co ich łatwo żywcem dostać. Będąc ja z nim zażyły, ile że on był Wielmożnym, mógłbym jego kronikę napisać. Jego ojciec był sługą i przyjacielem ordynatów Zamojskich, i od nich miał w dożywociu Sułowiec pod Zamościem. Miał kilku synów, co dobre



wychowanie wzięwszy po pańskich dworach, potem na ludzi wyszli. Ba, brat jego najstarszy był u nas marszałkiem, i o nim mawiano, że nawet był podobno gdzieś królem. Ale Pan Franciszek z gramatyki uciekł i przystał na szeregowego do pułku Mirowskich. Ledwo czytać umiał, i to jak Pan Bóg dał; a kiedy co napisał, biesby się nie doczytał czego on chce; ale o dwadzieścia kroków na koniu siedząc, nigdy z pistoletu tuza Czerwiennego nie chybił. JW. Mniszech Podczaszy W. K., a szef pułku Mirowskich, miał sobie za zabawkę szczególną widzieć go potykającego się w palcaty olejem i kredą namalowanemi; na niego bywało sześciu nasadzał, a on wszystkich sześciu kredą obznaczał, a jemu nic, co mu też na złe nie wyszło, bo JW szef poruczeństwo mu w tym pułku kupił. Ale jak tylko konfederacja Barska nastąpiła, on podmówiwszy swój szwadron, kasę pułkową zabrawszy, pułkownika swego Larzaka, do którego miał anse, dom zrabowawszy, z konfederatami się złączył. Nagradzając tę jego ku dobrej sprawie przychylność, Jeneralność zrobiła go pułkownikiem powiatu Gumbińskiego, upoważniając do werbowania pułku i wszystkich oficerów fortra-gowania; a wkrótce Pan Franciszek stanął na czele pułku wcale pięknego, który aż do rozwiązania konfederacji ciągle się popisywał. Coto były za piękne mundury! Czamarki i szarawary błękitne; żółte wyłogi; a sam pułkownik prócz olstrowych, nosił jeszcze za pasem parę pistoletów, szablę u boku a na plecach sztuciec,

z którego bywało jak wystrzeli, Dony jak chrząszcze padały. Nadokuczał on Moskwie! To też mówiono: że Drewicz w imieniu Carowej deklarował, że kto go żywcem przyprowadzi, zostanie gubernatorem Petersburgskim, chociażby był prostym kozakiem; ale on tego nie uważał, i tak się narażał, jakby za niego halerza złamanego nikt nie dawał. Demulier (Dumouriez) wielce jego, i jego pułk cenił, ale mu było przykro, że bez tłumacza nie mógł z nim rozmawiać. Demulier po łacinie gadał jak jezuita, i do nas tym językiem zawsze; ale Pan Franciszek Pana Boga po łacinie nie umiałby nazwać, a cóż dopiero w dyskurs się wdawać. Nadrabiałci fantazją, bo mocno to go sromało, że on jeden z ludzi stopniowych co po łacinie ani słówka; ale temu nie można było zaradzić. Staliśmy obozem pod Tyńcem. Demulier miał nad nami komendę, nawet Pan Kazimierz Pułaski był jemu posłuszny. Owoż tedy wychodzi ordynans, aby nikt pod karą najsroższą nie ważył się po czapstrzyku samopas z obozu oddalać się, a to z powodu że Moskwa okolice plądrowała a Dony odosobnionych chwyciły. Ale ten ordynans nie był Panu Franciszkowi po myśli, bo o półtora mili od Tyńca, w Burzymowie, mieszkała Pani Sędzina Sulejowska, z domu Bonerówna, piewszego Ławnika krakowskiego córka; wdowa w średnim wieku, urodziwa, dobrego rodu, bo jak wiadomo: *civis cracoviensis nobili par*, i bogata; pomimo dożywocia na mężowskim Burzymowie, miała sto tysięcy własnego wniosku i

porządków mnóstwo. Otóż P. Franciszek poznawszy ją w Krakowie, do jej przyjaźni wzdychał. Stanąwszy tedy pod Tyńcem, a dowiedziawszy się w karczmie u żyda że wielmożna Sędzina tak blisko, niepospolitą poczuł ochotę offerła u nóg jej składać, ile że miał dobrą nadzieję, to jest z jej strony; bo co się tycze jej familji, była zawsze przeciwna. Raz przy kielichu, gdy Panu Ławnikowi oświadczał się, prosząc o wsparcie Pan Boner spolitykował, mówiąc: moja córka od siebie zależy będąc wdową, a potem panowie wojskowi żartować lubicie. I gdy na usilne naleganie konkurenta, zawsze mu jedno ni to ni owo powtarzał, tak Pana Franciszka zniecierpliwil, że mu powiedział: a jużci szabli mojej na łokieć nie zamienię, bom szlachcic całki a nie przez pół. Tym sobie więcej jeszcze sprawę popsuł; chociaż gdyby się był nie wiedzieć jak w baranią skórę podszył, niczemby nie wskórał, bo familja sędziny miała wielką nad nią przewagę, a na takowe małżeństwo nigdyby nie zezwoliła, ile że Pana Franciszka za nalogowego kartownika trzymano. W Krakowie po całych nocach grywał, i tak ślicznie się ogrzał, że gdyby mu Pan Żareba nie był pożyczył trzysta tynfów, nie miałby o czem na wiosnę wojny rozpoczynać. Otóż tedy Pan Dzierżanowski tak wysunął się nam z obozu do Burzymowa, że prócz jego Gumbińczyków, nikt się ani spostrzegł. Aż tu przededniem usłyszeli żołnierze strzały. Jego sztuciec ledwie nie jak harmata hałasował; a że ci żołnierze byli z jego

komendy, wiedzieli o co rzecz, i obudzili Pana Regimentarza Zarebę, u którego byłem na ordynansie. A ten do mnie : otoż ten szalał wia tak i narobił ! Weźże waszmość dwadzieścia Gumbinów i ratuj go jak możesz. — Ja w cwał z Gumbińczykami ; było cicho, ale ledwo półgodzinyśmy ubiegli, aż tu słyhać znowu gęste strzały ; i tuż tuż świtać zaczęło ; aż tu widzim chmurę Donów. Jak huknę nacieraj ! Bóg z nami ! Kozactwo w nogi, tylko Pan Franciszek na koniu, koło niego kilka koni, a on między nimi jak furman na wozie. — Panie Pułkowniku, jak się masz ? — a on na to : niech ci Bóg odplaci, i wam koledzy, otoś mi brat ; ale mię diabie spisa pocałował — patrz ! — W istocie ramię miał skłute i krew się toczyła. Na ziemi trzech kozaków leżało, jeden się rużał. — Dobijcie tego psa niechaj więcej nie kasa ; — tego Gumbińcom dwa razy nie trzeba było powiadać. — Winszując pułkownikowi trzech położyłeś. — Oho, pójdzno bratku o pół mili dalej, tam czterech leży, oto ich konie ; przez tę chudobę omal mnie kaduk nie spiskał. Pokazało się, że gdy wracał późną nocą z Burzymowa do obozu, czterech dońców zrobiło zasadzkę, ale że kozak większy niż tuz czerwienny, wszystkich czterech położył ; mógłby tedy bez szwanku do obozu powrócić. Ale zrobił mu się żal opuścić kozackie konie, zatem powiązał ich cugłami do swojego ; szczęściem tylko że broń na nowo nabił ; ale już wolnym musiał stąpać krokiem ku Tyńcowi, a tak inne Dony mieli go czas doścignąć

Poplątany końmi, nie po myśli mógł się obracać; strzelał ci wprawdzie, ale uciec nie było sposobu. Żebym nie był przybiegł na ratunek, nie wiem co by się z nim stało, i dla tego silnie mnie polubił. Kiedyśmy już bezpiecznie wracali, — Sewerynie bratku, mówił do mnie, a cóżto będzie ze mną w obozie, żem wylazł pomimo rozkazu? — Pan Regimentarz markotny, ale pułkownika kocha. — A on mnie: mniejsza o Regimentarza, bo to szlachcic jak ja, i jak waszmość, porozumieć się łatwo; ale ten utrapiony Niemiec, czy tam Francuz, żeby mnie nie kazał na kobyłę drewnianą wsadzić dla przykładu. Powiedzże mu że jak ja na nią siądę, niech że pilnuje żebym nie zlazł, bo mu w łeb strzełę jak psu. — A ja jemu: Panie pułkowniku, któż znów widział, i siebie zgubisz i sprawę oszpecisz. Skończyło się na mniejszem: bo jenerał Demulier konie zabrane odebrał, a jego na 10 dni do aresztu zaparł, co mu było i potrzebne, bo dało czas plejzer wygoić. Chciał mnie on zrobić rotmistrzem w swoim pułku, i to mi było do smaku, że i mundur był ładny, i gotowe miałem zasługi; ale ludzie mnie odwiedli, a szczególnie wielmożny Korsak porucznik Piątychorców, który opiekował się mną i mnie świadczył zawsze. On mi mawiał: żyj z Dzierżanowskim jak z kolegą, ale do jego pułku nie przystawaj, bo duszę zgubisz; on Pana Boga się nie boi, swoich i cudzych rabuje, a nierząd lubi że aż zgroza. Jużto różnie bywało, ale że wierzył po katolicku, tom świadek, bo i szkaplerz nosił.

i pacierz mówił; tylko że był tępym do książki, a ktemu na miejscu ustać nie mógł, nadto krótko się modlił, dla tego miano go za heretyka, — ale to niesłusznie.

## III.

## PAN BIELECKI.

Wszystko dawniej szło lepiej niż teraz. Takie przestępstwa, coby je dziś miano za żart, to ludzi gorszyły, i widocznie kary od Boga ściągaly; a teraz już namnożyło się tyle złego, takie paskudztwa o których dawniej ani słyhu, że Panu Bogu naprzykrzyło się karać: zdaje się mówić ludziom «róbcie co chcecie.» A na co Pan Bóg ma widoczne kary zsylać, kiedy w niego albo wcale nie wierzą, albo wcale nie tak jak potrzeba? — Oto był u nas już nie młody konfederat, ale jeszcze czerstwy, nazywał się Bielecki; imienia nie pomnę. Że był dobrym szlachcicem, dowód, iż go tytułowano sędzią Grodzkim; że był możnym, świadczą trzydziestu jeźdźców zbrojnych których aż z Mściślawskiego przyprowadził; a że był światłym, to powiem żem na własne uszy słyżał, jak z generałem Demulier (Dumouriez) po fran-

czku rozmawiał. Do tego, pobożny jak ksiądz, i dziwnie łagodnego przystępu; a chociaż obywatel możny a ktemu urzędnik, pokorny jak kwestarz; my wszyscy za niego ubićby się dali; a patrzcie jakich ten obywatel szczególnych doświadczał kolei. Oto był dworzaninem u króla Augusta wtórego, i jego posiadał względy. Pan ten acz wielkich cnót, widno, że z pierwiastkowego luterskiego wychowania, przyniósł (Boże mu przebacz) w łono kościoła Bożego, nieco skłonności do rozwiązłego życia. Pewnego wojewody żona wpadła mu była w oko; której nazwisko lubo mi wiadome wymienione nie będzie, gdyż jej prawnuki teraz żyjące, ze wszech miar szanowne, nie radeby aby o tém wiadano iż pochodzą od przodka któremu się zdarzyło pośliznąć; powiem tylko, że ta pani była urodziwą, rozumną, i długi czas nawet cnotliwą; a król coraz silniejsze do niej czując zapęły, używał dworzanina swojego Bieleckiego, aby zabiegami swojemi torował mu drogę do cudzej własności; a Pan Bielecki jakby nie wiedział że co Bóg zabrania, z tego król rozgrzeszyć nie może, z wiernością sługi Panu pomagał. To się wnącał do domu wojewody, nigdy przed szlachtą nie zamkniętym; to nakoniec rozmowami swemi, jak to zwykle wiele na wystawieniu rzeczy zależy, przyczynił się o ile mógł, do osłabienia przekonania, i ztąd wielkie zło wynikło. Pan wojewoda, zelant o sławę swoją, jako chrześcijańskiemu senatorowi przystoi, zaczął żonę podejrzewać i mieć się na ostrożności.

Razu więc jednego, gdy obaczył pana Bieleckiego wychodzącego z pałacu, kazał go schwycić przez hajduków swoich, i dopóty mu wytrząsać odzienie, aż z niego wypadł list wojewodziny do króla. Przeczytałwszy go, i wiele złego wysłedziwszy, nie zważając iż Pan Bielecki się składał że jest szlachetnie urodzonym i komornikiem królewskim. kazał go zbić na kwaśne jabłko i w pół umarłego z bólu wyrzucić na ulicę, za dziedziniec swojego pałacu; a żonę natychmiast z Warszawy do dóbr swoich wywiózł, a tam osadził ją w klasztorze Panien Zakonnic, fundacji jego domu: w którym to klasztorze i dni swoje w wielkiej pobożności i skrusze zakończyła. Pan Bielecki odszedłszy z bólu, nie mając nawet środka do poszukiwania swej krzywdy, napróżno od króla, pierwszej sprężyny swego nieszczęścia, był pocieszonym i obdarzonym; tyle doświadczał wzdargy i poniżenia od wszystkich (bo komuż jego wypadek był tajny?), że nie tylko dwór, ale świat nawet był mu w obrzydzeniu, i gdyby nie był natenczas żonaty, do klasztoru byłby wstąpił. Dobry król, litując się nad jego dolą, dawszy mu znaczną królewszczyznę w Mściławskim wyjednał mu, iż go JW. Pocięj wojewoda instrumentował sędzią Grodzkim tamecznym; a pan Bielecki z majątkiem i znaczeniem gotowém przeniósł się do tego województwa oddalonego, gdzie, albo nie wiedzieć kiedy, albo i wcale się nie dowiedzą co też to tam komu zdarzyło się w Warszawie. I długo też mu Pan Bóg szczę-



ścił; bo znacznie majątku przyrobił, i do nie-malej wziętości przyszedł u tamecznych oby-wateli, co mówi za jego światłem, bo wiadomo że w naszej Litwie, zwłaszcza zapadłej, nie łatwo szlachcie oswoić się z przybyszem. Ale po wielu leciech, jak to zawsze czleku zło na biedę dojrzewa, już nie wiem jaką drogą, a i tam doszło o wszystkich okolicznościach któreto niegdyś przebył w Warszawie, i rychło się po wszystkich uszach rozeszło, i rozgniezdziło się po pamięciach, i od niechętnych, na jakich i najlepszemu nie zbywa, do oziębłych, a potem do przyjaciół choć najgorliwszych, tak się wszystko roztrąbiło, że i tu w końcu oczu nie można było pokazać. Ani go na kondesensje zapraszano, ani u niego bywano; a kiedy na jaki sejmik jako sędzia Grodzki przyjeżdżał, to choć nieborak ust nie otworzył, miał się czego nasłuchać od tych coto sprawy w Grodzie poprzegrywali; to go pytanó: gdzie rzemień tańszy czy w Warszawie, czy w Mścislawiu? to mu gadano o rozdziale XI, artykule 27 Statutu Litewskiego. Na pochyle drzewo jak mówią i kozy skaczą; dosyć, że widząc pan Bielecki że między ludźmi poszedł w poniewierkę, i że trudno mu będzie dziatki, których miał dosyć w przyzwoitych małżeństwach postanowić, a jeszcze trudniej między szlachtą promować, wielce się zasmucił; a nareszcie sęstwo zło-żywszy, ślubował Panu Bogu, że jak niegdyś książę Radziwiłł Sierotka, grób Pański nawie-dzi, tusząc, że za to Zbawiciel zdejmie z niego

sromotę. I dobrze się na tę podróż gotował; siła nagromadził pieniędzy, że mógłby za nie, ledwie nie drugie tyle dóbr nabyć ile ich miał, choć miał ich nie mało; i już się zabierał do podróży: a właśnie wtenczas konfederacja barska nastąpiła. Otóż pewien tamecznych stron Dominikan, co był i wielki teolog i świętobliwy zakonnik, a któremu mocno pan Bielecki wierzył, zamienił mu ślub w ten sposób: iż mu rozkazał wszelki grosz co nagromadził użyć na uzbrojenie ludzi do Konfederacji, i samemu osobą swoją do niej akces uczynić. Zapewnił go, że działając w związku za Wiarę i Ojczyznę walczącym, takie same zyszcze odpusty, jakby na pielgrzymce. W czém, jak mi się widzi, O. Dominikan że był natchnionym pokazało się raz że kilka a może kilkonastoletni zamiar w jednej chwili przemienił: powtóre, że go skutek usprawiedliwił. Tak więc pan Bielecki, trzydziestu ludzi na dzielnych koniach uzbroiwszy, przyprowadził ich do Generalności w Mohilowie nad Dniestrem znajdujące się. A chociaż od młodości będąc to dworakiem, to urzędnikiem, sędziwego doczekał się wieku bez żadnego doświadczenia rycerskich zabaw, ślubował jednak Panu Bogu, że przynajmniej trzy razy osobiście w boju znachodzić się będzie. Jakoż w ciągu naszej Konfederacji, trzy razy znachodził się gdzie ciepło, a na każdy raz nosi na sobie nie zaprzeczonego świadka. Naprzód był przy Jarosławie zdobyciu, z panem Rudnickim, co się później spaskudził, ale u nas

był bardzo dobrym, i tam dostał strzał w nogę; a gdy przyszedł do zdrowia, był z nami pod Lanckoroną, gdzie nam była wielka pociecha, jemu z bólem przymieszana, bo kulą dostał w sustawę od ręki. Gdyby to komu z nas, pewnieby ręka uszła, jeno że on miał ku wszystkiemu sposób: załatawszy ranę na prędce, kolasą na Bilsk się wywiózł, to tam Niemcy mu zaradzili, że odrobinę władzy w ręku zachował. A tak po długiej kuracji, gdy do zdrowia przyszedł, lubo jego ludzie ciągle z nami chodzili gdzie potrzeba, on pamiętał na ślub swój, że mu jeszcze jednej bitwy do rachunku nie staje. Aż w Częstochowie pod okiem właśnie Najświętszej Panny, uzupełnił, co Panu Bogu przyobiecał; bo gdy nas Pan Kazimierz Puławski na wycieczkę wyprawiał, on z nami wyruszył z własnej ochoty, a wystąpił wedle zwyczaju jak do króla na biesiadę. Miał taratatkę ponsową, z złotemi potrzebami, i pas lity. Pan Puławski, co skromnie się nosił, przepychów nie lubił, a był żartobliwym, powiedział mu: panie sędzio, opamiętaj się waszmość: cały jesteś we złocie jak szczupak w szafranie na Wilję; chcesz widzieć aby cię miano hetmanem całego Chrześcijaństwa. Idź przebierz się panie bracie, a nie ucz cudzych kul kogo najpierwej witać mają. — A on mu na to: Mości starosto Dobrodzieju, wszak toć jam nie dzisiaj się urodził. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi; jak zechce, znajdzie on mnie choćbym pod ziemią się schował, a jeżeli nie, to wyjdę bez szwanku, i

od mędrszych strzelców niż Moskale. — A pan Puławski: jak książka mówisz, mój sędzio; kiedy tak dobrą masz wiarę, niechże w las pójdzie moja przestroga. Kto robi co potrzeba, niech się nosi wedle woli swojej. A pokazało się, że każdy z nich był praw; bo dragon mu gębę przestrzelił w oczach naszych, jako pan Puławski ostrzegał, że go łatwo na cel wziąć; ale jak mówił sędzia, bez woli Pana Boga toby się stać nie mogło, o czém ani pan pułkownik, ani ja, ani żaden konfederat Barski, ani żaden poczciwy a polski szlachcic wątpić nie może. Otóż pan Bielecki, gdy długo w Częstochowie wylizywał się, opowiadał nam wszystkie swoje zdarzenia, dodając: — Jużem teraz sobie rad, boć wszystko się dopełniło; zgrzeszyłem nogą chodząc gdzie niepotrzeba; ręką bom nosił listy ku złemu: a gębą, bo nie do dobrego namawiał: a gdzie zgrzeszył, tam muie Pan Bóg dotknął, w czém niech mu chwała będzie, a już ja do domu spokojnie wrócę. Jakoż zostawiwszy swoich ludzi, i na nich grosz panu Puławskiemu, z jednym pacholkiem puścił się do Mściławia, z nami czule się pożegnawszy.

Właśnie trafił na sejmik, gdzie podkomorzego wybierano. Kilka było partji, i nie mogła szlachta się zgodzić, ale ledwo się zjawił Pan Bielecki konfederat, jednomyślnie go obrano Podkomorzym. A toż nie cud oczywisty! tu dopiero był u nich w takiej poniewierce, że aż grób Pański chciał nawiedzić, a tu ci sami jego na

pierwszy urząd województwa wynoszą: dopiero tułacz, a teraz *princeps nobilitatis* Jaśnie Wielmożny; jakim i umarł — a że w wielkiej pobożności, zdaje się iż o tém nikt wątpić nie będzie.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



Paryż, w drukarni braci Rouge, Dunon i Fresné,  
ulica du Four-Saint-Germain, 43.

340825

340825

SERJA PIERWSZA.

1. KSIĘGI NARODU POLSKIEGO I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO, przez Adama Mickiewicza.
2. PAMIĘTNIK JAZDY WOLYŃSKIEJ, p. K. Różyckiego.
3. MOWA O NARODOWOŚCI POLAKÓW I POSŁANIE DO BRACI WYGNAŃCÓW, K. Brodzińskiego.
4. ARTYKUŁY PIELGRZYMA, Adama Mickiewicza.
- 5-6. PSALTERZ DAWIDOWY, Kochanowskiego, t. 2.
7. MABJA; powieść ukraińska, Malczewskiego.
8. WZYWANIE DO POKUTY, przez Piotra Skargę.
9. DZIENNIK PODRÓŻY Józefa Kopcia.
10. WIESŁAW I PIEŚNI ROLNIKÓW, Brodzińskiego.
11. POCZĄTEK I PROGRES WOJNY MOSKIEWSKIEJ, przez Stanisława Żółkiewskiego.
12. THRENY, SATYR I WRÓŻKI, Kochanowskiego.
13. WSPOMNIENIA Z CZASÓW WOJNY NARODOWEJ POLSKIEJ 1831 r., przez Stef. Garczyńskiego.
- 14-15. PAMIĘTNIK OBLĘŻENIA CZĘSTOCHOWY 1655, przez ks. Augustyna Kordeckiego, t. 2.
16. KONRAD WALLENROD, Adama Mickiewicza.
17. ZAMEK KANIOWSKI, Sewer. Goszczyńskiego.
18. DUCH OD STEPU, Bohdana Zaleskiego.
19. BITWA RACŁAWICKA, T. Lenartowicza.
20. WIERSZE RÓŻNE POLITYCZNE, ZDANIA I UWAGI, przez Adama Mickiewicza.

SERJA DRUGA.

- 21-26. O USTANOWIENIU I UPADKU KONSTYTUCJI 3 MAJA 1791, przez Ks. Hugona Kollataja, t. 6.
- 27-30. KANTYCZKI. (Wedł. wydania 1785 r.) t. 4.
- 31-36. ŚPIEWY HISTORYCZNE, J. U. Niemcewicza, z muzyką, t. 6.
37. PAMIĘTNIK PIOTRA WYSOCKIEGO, o powstaniu 29 Listopada 1830.
38. ŚPIEWY NARODOWE, z muzyką.
39. KRÓLOWIE POLSCY, z popiersiami.
40. BOHATEROWIE POLSCY, z popiersiami.

Cena każdego tomu 25 centymów.